

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. **Kraków, 17 października 1914.** **Nr. 42.**

Upadek Antwerpii.

(Treść na str. 2).



1) Widok miasta ze Skaldy. 2) Port z historycznem muzeum „het Steen". 3) Muzeum od strony miasta, wejście. 4) Pomnik Leopolda I i bank narodowy. 5) Królewskie muzeum Sztuk Pięknych. 6) Ratusz. 7) Główna hala giełdy

Upadek Antwerpii.

(Do illustracyi tytułowej).

Padła ostatnia twierdza Belgii, a z nią całe królestwo mężnego króla Alberta powalone zostało do stóp cesarza Niemiec. Z niesłychaną brawurą i rozpacznem bohaterstwem bronili Belgijczycy swej niepodległości i wyznaczonego im przez ich sprzymierzeńców stanowiska, mimo jednak największych wysiłków nie zdołali oprzeć się armii niemieckiej i jej impetowi, druzgocącemu wprost ich kraj i wojska. Nie pomogły im posiłki angielskie, ani „niezdobyte" twierdze, za jakie uważano Liége, Namur, a głównie Antwerpię, działa niemieckie skruszyły ich opór, kładąc trupem tysiące z załogi, a pancerze i obwarowania zamieniając w gruzy i zgliszcza. — Arcydzieło słynnego Brialmonta, twierdza Antwerpii, jedna z najsilniejszych w Europie, przestała istnieć, a z nią ostatnie schronienie pokonanej armii belgijskiej i władz rozbitego państwa.

Oblęganie i bombardowanie twierdzy trwało przeszło tydzień i skończyło się zajęciem miasta — bez kapitulacyi. Dnia 28 września rozpoczęła ogień artylerya oblężnicza, w ciągu pięciu dni zdobyli Niemcy osiem fortów zewnętrznych i przeszedłszy rzekę Nethe w dniu 6 b. m., poczęli ostrzeliwać wewnętrzny pas fortów, a pośrednio i samo miasto, które dość znacznie ucierpiawszy w rejonie przedmiejskim, zostało zajęte wreszcie dnia 8 b. m.

Osaczona w mieście załoga odrzuciła propozycyę poddania się i ewakuując twierdzę, pod ogniem nieprzyjacielskim przeszła Skaldę, udając się na terytoryum Hollandyi, gdzie się rozbroiła. Ten akt skończył obecną tragedyę wojenną Belgii, przewidzianą od dawna, lecz odwlekaną przez żelazną wytrwałość i bohaterstwo jej wojsk. Upadli, broniąc się do ostatniej chwili — upadli z honorem. Przemożną siłą zostali pobici, ale się nie poddali, to stawia cały ich naród w rzędzie historycznych bohaterów, doznających czci nawet u zwycięzcy.

Upadek Antwerpii ma doniosłe znaczenie moralne i faktyczne dla przebiegu dalszych kolei gigantycznej bitwy we Francyi. Pokonanie tej twierdzy wpłynie bodaj, że decydująco na wynik tamtych zapasów, w niekorzystnym naturalnie kierunku dla walczących wspólnie sprzymierzeńców rozbitej Belgii, którym może już niezadługo przyjdzie z nią podobny los podzielić.

Upadek Antwerpii nazywają niektórzy publicyści upadkiem Paryża, a bliska przyszłość prawdopodobnie pokaże, o ile mają racyę.

Pokonana Antwerpia z wielu względów zasługuje na krótki choć opis, który poniżej zamieszczamy:

Jest ona starem miastem Brabantu, mającem wspaniałą historyę, VIII. wieku sięgającą, podobną chyba tylko Wenecyi, bo nawet nazwają ją „północną Wenecyą". Jako doskonały port u ujścia Skaldy, była pierwszorzędnym morskim punktem handlowym i komunikacyjnym z nowym i starym światem. — Pod murami jej twierdzy toczyły się w różnych epokach boje i walki, całe zaś miasto, siedziba flamandzkiej sztuki, jest wspaniałem muzeum rzeźby, malarstwa i architektury, których jedyne arcydzieła w wielkiej liczbie posiada. Ongiś bogata siedziba Hanzy, stała się następnie centrum kultury i dumą całego królestwa, a bezcenne skarby sztuk plastycznych oraz pamiątki historyczne podnoszą nadto jej wartość. Dzisiaj przetoczyły się przez nią koła rydwanu Marsa, stąd rozpacz Belgów a trwoga całego świata cywilizowanego o jej los i zabytki.



Zmarły król Karol I.



Zgon pierwszego króla Rumunii: Nowy król Ferdynand I (X) z synem Karolem, obecnym następcą tronu.

Zgon pierwszego króla Rumunii.

Wśród szczęku oręża wielkiej wojny europejskiej zmarł jeden z wybitnych monarchów, na którego szczególną uwagę zwracały wszystkie dwory, zawikłane w obecnej zawierusze. Młody tron królestwa Rumunii osierocony został przez pierwszego swego monarchę, Karola I., z katolickiej gałęzi Hohenzollern-Sigmaringen. Urodzony w roku 1839, po ukończeniu studyów uniwersyteckich w Bonn, był od roku 1857 z małemi przerwami do roku 1866 czynnym członkiem armii niemieckiej, a jako oficer pruskich dragonów gwardyi, brał udział w wojnie z Danią w r. 1864.

Jako 27-letni porucznik wezwany został, prawie jednogłośną wolą obu Izb Mołdawii i Rumunii na dziedzicznego księcia zjednoczonych państw. Mimo ciężkich warunków, powstałych wskutek świeżości państwa i intryg Rosyi, nie tylko utrzymał się na objętym tronie, ale umocnił swoje i państwa stanowisko przez ogłoszenie po wojnie wschodniej 1877—78 zupełnej niezawisłości Rumunii i wreszcie koronacyę swą na króla w r. 1881.

Swiadczącem o trafności oryentacyi politycznej było ciążenie króla ku trójprzymierzu, mimo innych sympatyi narodu i doniosłego epizodu z jego życia to jest dowództwa armią rosyjsko-rumuńską w słynnej bitwie pod Plewną.

Poznawszy już wówczas perfidyę Rosyi, prowadził też swe państwo po linii odrębnej polityki i mimo kokietowania a nawet gróźb dworu petersburskiego, wytrwał na niezależnem stanowisku, ku dobru i pomyślnemu rozwojowi swego państwa.

Ze śmiercią króla Karola I. kończy się piękny rozdział historyi współczesnej Rumunii, przedstawiający stały jej rozkwit pod każdym względem, w czem pomagała mu światła małżonka Elżbieta, z domu księżniczka Wied, znana w świecie literatka, pisząca pod pseudonimem Carmen Sylva.

Sprawa następstwa tronu osieroconego została uregulowana przez adopcyę bratanka, księcia Ferdynanda Hohenzollern, urodzonego w roku 1865. Wstępuje on obecnie na tron pod imieniem Ferdynanda I., najstarszy zaś jego syn Karol, liczący obecnie 21 lat życia, zostaje następcą tronu.

Wpływowe stanowisko Rumunii na Bałkanach i w Europie, jakie jej wyrobił zmarły król, uczyniło ją pożądanym przyjacielem państw ościennych. Ubiegała się też głównie o to Rosya, której cesarz, nawet z całą rodziną, bywał częstym choć nieproszonym gościem dworu Bukaresztеńskiego. Jednę z takich wizyt przedstawia nasza illustracya.

Jubileusz kapłana-patryoty.

W niedzielę, dnia 11 października b. r. obchodził ks. Arcybiskup Franciszek Albin Symon, obecnie Archipresbiter kościoła Najśw. Maryi Panny w Krakowie, złoty jubileusz swego kapłaństwa.

Przed pięćdziesięciu laty, w dniu 10 października 1864 r. po ukończeniu wyższych studyów teologicznych w Rzymie, wyświęcony tamże na kapłana, przeszedł wszystkie szczeble hierarchii duchownej, dając się poznać jako znakomity teolog i niezmordowany duszpasterz, którego życie to jedno pasmo cierpień i prześladowań, jakie znosić musiał ten najwierniejszy syn Kościoła i Ojczyzny.

Gdziekolwiek przebywał, czy to jako biskup na katedrze, czy jako wygnaniec na obczyźnie, wszędzie zaletami serca i umysłu, a przedewszystkiem ewangieliczną prawdziwie prostotą zyskiwał sobie uwielbienie tych, którzy mieli to szczęście zetknąć się z Nim bliżej.

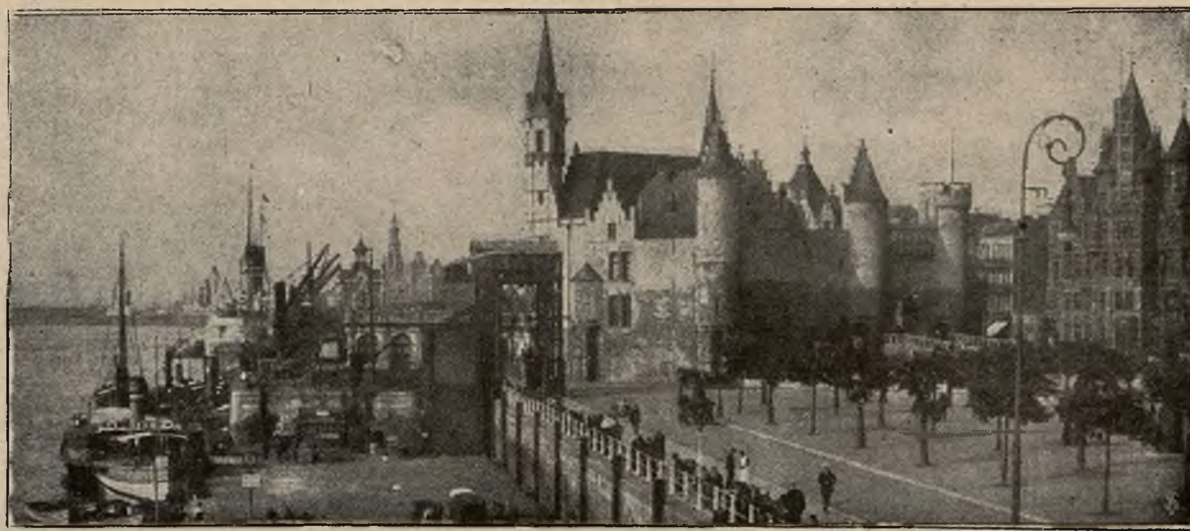
Od roku przebywa w Krakowie, gdzie na życzenie Księcia Biskupa Sapiehy objął rządy starożytnego kościoła Maryackiego. Choć podeszły wiekiem, obowiązki swe spełnia z godną naśladowania gorliwością, wstępnym też bojem zdobył sobie serca



Jubileusz kapłana-patryoty: Ks. Arcybiskup Franciszek Albin Symon.

Krakowian, którzy, niestety, z powodu obecnej sytuacyi politycznej nie mogli w tym dniu uroczystym tak uczcić zasługi tego prawdziwego kapłana-patryoty, jak na to swem życiem zasłużył.

Oby długie jesze lata mógł owocnie pracować dla dobra Kościoła i Ojczyzny!



Upadek Antwerpii: Fragment portu

Przed rozstrzygającą bitwą w Polsce.

Walka na wschodnim terenie obecnej pożogi wojennej toczy się na ziemiach polskich i o ziemie polskie, to też przedewszystkiem na Polskę spada ciężkie brzemię tych krwawych zapasów. Pomimo to Polacy patrzą z otuchą w przyszłość, wierząc w tryumf dobrej sprawy i sprawiedliwości. Ze zrozumiałem jednak napięciem oczekują wyniku walk zarówno w Galicyi Wschodniej, jak i w Królestwie Polskiem, które weszły obecnie w nowe stadyum, pozwalające spodziewać się rychło rozstrzygającej bitwy.

Energiczna ofenzywa wojsk austryacko-węgierskich w Galicyi została uwieńczona pomyślnym sukcesem: armia rosyjska niemal w popłochu cofnęła się za San, odstąpiwszy od Przemyśla i opuściwszy między innemi zajętemi miastami także Jarosław.

Tak samo ofenzywa wojsk niemieckich w Królestwie Polskiem zmusiła Rosyan do szybkiego odwrotu ku Warszawie, pod bramami której stoją już wojska niemieckie. Tak więc niebawem musi przyjść do rozstrzygającej wielkiej bitwy, której front rozciągać się będzie od Warszawy aż do Lwowa.

Tymczasem wojska austryackie i niemieckie w odzyskanych na nowo ziemiach Królestwa Polskiego przywracają swą władzę, a rząd niemiecki mianował już szefa władz cywilnych w Królestwie Polskiem w osobie hr. Meerweldta.



Upadek Antwerpii: Manifestacya w Berlinie z powodu zwycięstwa.



Śmierć kardynała D. Ferraty: S. p. kardynał Domenico Ferrata.

Śmierć kardynała D. Ferraty.

Zaledwie kilka tygodni piastował kardynał Domenico Ferrata godność sekretarza stanu, mianowany zaraz po conclave przez nowego papieża Benedykta XV. Wybitny uczony i doskonały dyplomata, był przedtem ś. p. kard. Ferrata nuncyuszem we Francyi i Belgii, zaznaczając na wszystkich, jakie zajmował, stanowiskach hierarchii nieprzeciętne zdolności. Kreowany kardynałem w roku 1896 był w czasie ostatniego conclave prefektem Kongregacyi Sakramentów i jednym z najpoważniejszych kandydatów do tyary.



Zgon pierwszego króla Rumunii: Rodzina króla Karola rumuńskiego i cara Mikołaja II na zjeździe w Konstanzy.



Przed rozstrzygającą bitwą w Polsce: Przejazd artyleryi rosyjskiej przez nowy most w Warszawie.

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

20

Ogarniało mnie coraz większe znużenie, lękałem się, czy nie zabraknie mi sił do wydostania się z powrotem na wierzch i czy światło pochodni mojej na długo jeszcze wystarczy. Położenie moje nie było do pozazdroszczenia.

Po półgodzinnej takiej niewdzięcznej gimnastyce, zniechęciłem się zupełnie i chciałem się już, wyrzekając głośno, zdecydować na odwrót, kiedy ku mojemu przerażeniu nie napotkałem już ogniw żelaznych pod nogami, po których schodziłem dotąd. Ujrzałem przed sobą błotnistą kałużę, która zapewnie być musiała wyschniętem łożyskiem rzeki jakiejś lub podziemnego kanału. W cuchnącem błocie pogrążone były duże szkielety. Rozpoznałem w nich natychmiast gigantyczne krokodyle, napół węże i napół ropuchy, których kość grzbietowa długości dwudziestu mniej więcej metrów, teraz w kabłąk zgięta, łączyła się z kością pacierzową, szeroką i krótką. Drobne skrzydła, złożone z cienkich, licznych kostek, musiały być płetwami, zastępującemi łapy.

Poruszony żywą ciekawością przebrnąłem przez ten błotnisty kanał. Byłem przekonany, że dotarłem do jakichś ciekawych odkryć wielkiej wagi. I nie mogło być inaczej. Bo w jakimże celu nagromadzono tu tyle przeszkód, jakgdyby broniących przystępu do nieocenionych skarbów: bramę żelazną, studnię i ten głęboki kanał, gdzie najodważniejsi mogli paść ofiarą swojej niepotrzebnej ciekawości. Ale po tem wszystkiem czas nieubłagany i bezwzględny przeszedł spokojnie, nie troszcząc się o wyrządzone szkody. Rdza zeżarła metal bramy, kanał wysechł, a potwory, pozostawione tam jako odstraszające stróże, zdechły z głodu lub starości.

A ja, przybysz z dalekich stron, z najodleglejszej planety miałem zebrać owoce tych stuletnich zbiorów!

Stanąłem na odłamie granitu, naprzeciw portyku pokrytego ciemną powłoką wilgoci i pleśni. Po przeciwnej stronie cztery czarne figury nieruchome, wzrostu wysokiego człowieka, klęczały przed wielkim, płaskim puharem, na którym błyszczał przedmiot jakiś, który wziąłem za ogromny drogocenny kamień.

Wykute w granicie, pierwotnym połączeniem stylów archaicznych, figury te przedstawiały Erloora, człowieka morskiego i Marsiana z lagun; czwarta wyobrażała jedną z tych istot, napół mięczaka i napół nietoperza, które widziałem wyhaftowane na materyałach znalezionych w galeryi wieży.

Przypuszczałem, że błyszczący kamień był symbolem i bożyszczem wszystkich tych ras.

Posunąłem się naprzód drżąc z niecierpliwości gorączkowej, ale zaledwie uszedłem dwa kroki, gdy olbrzymi odłam oderwał się od sklepienia z przerażającym łoskotem i upadł niedaleko mnie. Gdyby nie trzask ostrzegający, który zwrócił moją uwagę i wywołał szybkie cofnięcie w tył, byłbym nędznie poległ pod ciężarem monolitu. Był to niebezpieczny samotrzask, zastawiony rozmyślnie dla niepowołanych profanów! Bożyszcze nieznane było dobrze strzeżone przed oczami ciekawych intruzów!

Ostrożnie i zniedowierzaniem obszedłem wokoło blok, pod którym o mało co zmiażdżony nie zostałem i pochwyciłem błyszczący kamień, ten symbol tak przebiegle zachowany dotąd. Zdziwienie moje nie miało granic! Była to maska, albo rodzaj kasku — jedno i drugie w połączeniu, bo można go było włożyć na głowę aż po same uszy, wyrznięty z kamienia, promieniującego zielonymi i różowymi błyskami, jak najcudowniejszy olbrzymi opal.

Pochodnia moja wypaliła się już do trzech części; najwyższy czas był powracać tą samą drogą, inaczej groziła mi śmierć w tych niebezpiecznych ciemnościach, gdzie mogłem natknąć się na inne jeszcze przykrzejsze niespodzianki. Drogę powrotną dokonałem nadludzkim wprost wysiłkiem. Drapanie się po stromej ścianie studni i czepianie się ogniw żelaznych, okazało się o wiele trudniejsze teraz, niż przy zejściu. Przytem byłem już tak zmęczony i wzruszony nadzwyczajnem odkryciem, że nogi odmawiały mi już posłuszeństwa.

Na całą tę wyprawę podziemną straciłem prawie pół dnia. Noc już zapadła, gdy znalazłem się w galeryi podmorskiej. Odpoczawszy i nasyciwszy się należycie, przyszła mi nagle ochota, zupełnie chyba wytłomaczona, włożyć na głowę kask opalowy, zdobyty z narażeniem życia. Ale zaledwie oczy moje znalazły się naprzeciw przezroczystych otworów maski — doznałem dziwnego uczucia i niezwykła jakaś przemiana uczyniła się we mnie.

Ciemna galerya rozbłysła nagle oślepiającem światłem. Widziałem snopy fosforycznej jasności, nie dostrzeżone dotąd. Miały one jasno zielone i fiołkowe zabarwienie. Zrozumiałem wówczas, że kask opalowy posiadał przedziwną właściwość działania na soczewkę w specyalny sposób, ułatwiając przyjmowanie wrażeń ocznych i chwytanie ciemnych promieni wydzielanych z niewidzialnych gołem okiem przedmiotów i różnych radium tego samego gatunku.

Wtedy pojąłem dokładnie, dlaczego dawni właściciele tego cennego przyrządu strzegli go tak zazdrośnie i zaciekle. Przy użyciu tego cudownego kaska mógłbym teraz dostrzec ujście świetlane radium i promieni x i innych świetlnych wibracyi, subtelniejszych jeszcze i bardziej niepochwytnych dla oka ludzkiego, dla którego może na zawsze staną się niedostrzeżone!

Nie jestem w stanie opisać dziwnego wrażenia, jakiego doznałem poznawszy ten fakt.

Ale zaledwie otrząsnąłem się cokolwiek ze zdumienia i zachwytu wywołanego tem ndzwyczajnem odkryciem, kiedy jakiś kształt skrzydlaty otarł się o mnie. Zanim zdołałem oprzytomnieć, stworzenie to, czy ptak uleciało szybko w stronę wieży kryształowej.

Powstałem natychmiast silnie wzruszony, postępując w ślad tego cienia, przeczuwając, że nareszcie jestem na drodze odkrycia tajemniczych mieszkańców uśpionego pałacu!

Po drodze musnęły mnie przelotnie inne cienia, ale tak szybko, że nie zdołałem przyjrzeć im się dokładnie. Wydrapałem się czemprędzej na górę i wbiegłem do korytarza z kryjówkami.

Niema słów dosyć wyrazistych na opisanie przerażającej wizyi, jaką ujrzały moje oczy. Żaden język ludzki nie jest w stanie oddać wstrętu i okropnego przerażenia, jakiemu uległem! Każda z kryjówek wspaniałego Coloseum kryształowego, które obecnie dwa księżyce marsowe, Phoibus i Deimos oświetlały przepychem swoich promieni — zajętą była przez potwora, promieniującego fosforycznym blaskiem; głowę miał olbrzymich rozmiarów, wstrętną, umieszczoną pomiędzy dwoma skrzydłami, brudnej białości.

Ciała nie miał, tylko w miejscu rąk liczne ssawki, które szemrząc nieprzyjemnie poruszały się ciągle, podobne do zwojów małych węży. Oczy były szerokie, bez powiek; zauważyłem również brak nosa, a usta rysowały się maleńkim, purpurowym znakiem.

Przy tym dokładnym opisie, słuchacze Roberta Darvela zamienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenie, pełne grozy i zdumienia. Lord Frymcoock przerwał stenografowanie i z ołówkiem w ręce patrzał przerażony na opowiadającego. Zaruk pod skórą brązową zbladł silnie i stał się szaro żółty, a mała Cherifa trwożliwie przytuliła się do miss Alberty. Zasugestyonowany wspomnieniem tych zatrważających i niezapomnianych przejść, młody inżynier rozpoczął mówić dalej, nie zauważywszy wrażenia, jakie wywołał swojem opowiadaniem.

— Cały ten tłum zwracał ku mnie olbrzymie, martwe źrenice i nagle ostry, gardłowy okrzyk zerwał się tłumnie z centralnej kryjówki i wzniósł się ku niebu.

Rozpoznałem w tym strasznym, piekielnym akordzie, po setki razy powtórzony wybuch ironicznego śmiechu, prześladującego mnie od tak dawna.

Cała krew zbiegła mi do serca, stałem przykuty do miejsca lękiem przechodzącym pojęcie ludzkie, a krzyk szedł do mnie jak szum zbliżającej się burzy.

Uniesiony ostatnią, rozpaczliwą odwagą, albo może też instynktownym odruchem samozachowawczym, odwróciłem się i zacząłem uciekać co sił mi starczyło. Czułem skrzydła wyrastające mi u ramion. Zatrzymałem się dopiero w głębi najciemniejszej galeryi, gdzie znajdowały się zachowane mumie, a wiedziałem, że i tutaj nie znajdę bezpiecznego schronienia przed Wampirami — bo tak ich odtąd nazywać zacząłem — wobec których Erloory byli tylko spokojnymi i nieszkodliwymi potworkami.

Gdybym miał siły dostateczne, byłbym z powrotem ukrył się w głębokiej studni, gdzie znalazłem kask opalowy. Ah! jakże teraz rozumiałem staranne ukrycie fatalnego talizmanu, który pozwalał dostrzegać rzeczy niewidzialne! I nie dziwiłem się już, że strzeżono go tak zazdrośnie! A więc od tylu dni żyłem w towarzystwie tych okropnych stworzeń, nie wiedząc o tem, nie przeczuwając niczego!... Zapewnie bawili się doskonale szpiegując mnie, jak czyni się ze zwierzęciem domowem, które uciec daleko nie jest wstanie i które odnajdzie się zawsze w chwili stosownej, wybranej na ofiarę!...

Moje niewytłomaczone przejścia ubiegłych dni były dla mnie teraz jasne i zrozumiałe!

To były Wampiry, które zaczajone w zaroślach powietrznych, spowodowały nagłą śmierć moich biednych Marsianów, a które uwięziły mnie w niezrozumiały dla mnie sposób. Czułem jeszcze na ciele mojem dotknięcie lepkie ich ssawek i drżałem na wspomnienie strasznego niebezpieczeństwa, na jakie się narażałem, wstępując w jedną z kryjówek tych przerażających potworów.

Miseczki napełnione krwią świeżą wskazywały mi dostatecznie, jakie było ich codzienne pożywienie.

Przekonanie, że mogę istnieć na tej planecie, gdzie jak sądziłem przebywają tylko dzikie, nieszkodliwe stworzenia lub głupie Erloory — istoty niewidzialne i drapieżne, przejmowały mnie przykrem zdumieniem.

Napróżno przywoływałem na pomoc dowodzenia naukowe i przykłady doświadczone już, myśl, że jestem na łasce tych widmowych kreatur, była mi nieznośną. I jakim sposobem mogłem uniknąć bliższego spotkania się z nimi?

Spędziłem kilka godzin zaczajony, jak dzikie, tropione zwierzę, pomiędzy szczątkami dwóch kul sferycznych, z gardłem ściśniętem śmiertelnym lękiem i czołem pokrytem zimnym potem.

Byłem w oczekiwaniu, że lada chwila posłyszę miękkie trzepotanie skrzydeł Wampirów, które przybędą, naigrawając się ze mnie i wyciągną mnie przemocą z mojej chwilowej kryjówki!.. Dziwię się, że nie oszalałem z tego okropnego wrażenia! W uszach brzmiało mi ciągle echo piekielnego okrzyku, jakim powitali mnie — i na to wspomnienie zamierałem poprostu z przerażenia, czując drętwienie całego ciała i szalone, nierówne bicie serca! I zdaje się, że tylko temu nadludzkiemu naprężeniu nerwów winienem, że nie straciłem całkiem przytomności!...

Jednakże godzina za godziną upływała, a żaden szmer nie wtargnął w ciszę panującą w podziemnej galeryi. Przypomniałem sobie w końcu, że mam w posiadaniu kask opalowy — i skorzystać mogę z niego, podchwytując wszystkie ruchy moich nieprzyjaciół, przedtem dla mnie niewidzialne! Była to w każdym razie wielka ulga dla mnie i dobrodziejstwo. Czuć wokoło siebie ukrytych wrogów a nie móc ich widzieć, nie móc śledzić ich zamiarów względem mnie, byłoby jeszcze straszniejszą męką. Zachowałem więc na głowie ten ciężki kask, nie śmiejąc go zdjąć ani na chwilę, nie śmiejąc zasnąć tej okropnej nocy!

Robert Darvel przesunął ręką po czole, ruchem silnego wzruszenia, jakgdyby raz jeszcze przeżywał te wstrząsające chwile. Pitcher nie mógł spokojnie usiedzieć, chciał zawołać do swojego przyjaciela, że Wampiry zawładnęły już Ziemią, że są tu, krążą koło nich, około willi i że grozić im może wielkie niebezpieczeństwo! Ale stanowczym ruchem miss Alberta nakazała mu spokój i milczenie. Lepiej było pozwolić Robertowi dokończyć opowiadania. Będzie czas na ostrzeżenie go jeszcze o grożącem niebezpieczeństwie, na które on zapewne sposób obrony znajdzie. Pitcher jednak potrząsnął głową na znak niezadowolenia, ale milczał, podczas gdy Robert, który przypisywał tylko słowom swoim przerażenie, malujące się na wszystkich twarzach, mówił dalej bez przerwy:

— Zadziwicie się zapewnie, gdy wam powiem, że od tego dnia upłynęło dwa tygodnie, nie przynosząc nic niepokojącego. Przeciwnie, przyzwyczaiłem się do obecności moich ciekawych dozorców i nawet o ile tak się wyrazić mogę, zżyłem się z nimi i byłem na przyjaznej stopie. Przekonałem się, że nie tylko nie pragnęli uczynić mi coś złego, ale opierali na mojej osobie wielkie nadzieje; krzyki i mruczenia, jakiemi mnie tak owacyjnie przyjęli, były z wszelką pewnością specyalnym im wyrazem ogromnego zdziwienia, jakiego doznali, ujrzawszy mnie nagle w błyszczącym kasku opalowym i spostrzegłem, że zdobycie tego cennego talizmanu podniosło mnie w ich oczach. Nie zbliżali się, tylko patrzeli na mnie z pewnego oddalenia, wyrażając wstrętnem mruczeniem swoje zdumienie.

Podczas dnia widywałem ich rzadko; w przeciwieństwie Erloorów już ze wschodem dnia oddalali się tłumnie, aby powrócić wieczorem, zająć zwykłe miejsca, każdy w swojej kryjówce przeznaczonej mu w obszernym amfiteatrze. W jaki sposób i kiedy przygotowywali sobie miseczki z krwią świeżą do picia, tego nie dowiedziałem się nigdy, bo kryli się zazdrośnie z tą czynnością przedemną. Ich niewidzialność musiała im bardzo ułatwiać chwytanie żeru, ale posądzałem ich, kierowany smutnem doświadczeniem, że Erloory i Marsianie z lagun, stanowili główną część ich pożywienia.

C. d. n.

Na południowym terenie wojny.

Ryzykowna ofenzywa rosyjska we wschodniej Galicyi, prowadzona z bezwzględną pasyą i olbrzymim nakładem sił, jakie ją przy wielkich stratach forsują, zmieniły pierwotny plan Austryi w prowadzeniu wojny ze Serbią. Lawina wojsk rosyjskich, jaka zalała nasz kraj, wymagała przesunięcia tu i skoncentrowania sił austryackich dla zatrzymania tej fali. Dlatego też plan działania przeciw Serbii z silnej ofenzywy zmienił się w defenzywę, atakującą co jakiś czas nieprzyjaciela. Taktyka ta mimo pozornej nieczynności naszej armii, przyniosła klęskę Serbii, która chcąc zrzucić wojska austryackie z doskonałych punktów operacyjnych nad Driną i Sawą, podjęła kilkakrotnie ofenzywę. Za każdym jednak razem kończyło się to ciężką porażką wojsk serbskich. Inne nadto względy skłaniają sztab serbski do forsowania beznadziejnej ofenzywy, mimo ochoty zaniechania jej jako nie mającej wcale widoków powodzenia. Ofenzywa ta ma ratować Serbię w oczach niezbyt przyjaźnie usposobionych jej sąsiadów bałkańskich. Jako instygatorce tej wojny a wogóle całego obecnego pożaru Europy nie wypada stać bezczynnie; to też mimo wielkiej chęci, w pożądanej bezczynności trwać nie może. Wysiłek moralny i materyalny Serbii na postawienie całego państwa w stan wojenny, zatamowanie przez to wszelkiej produkcyi i wymiany międzynarodowej postawił Serbię nad przepaścią, wobec której pozostaje jej jedna tylko droga t. j. iść naprzód w podjętym kierunku. To jest jeden motyw rozpaczliwej zaczepliwości Serbii. Przyłączają się do niego i inne a mianowicie prowokatorka jej Rosya, która przesłała do Serbii licznych oficerów a także, jak twierdzą, wspomagająca ją we wszystkiem, co może posłużyć do wojny, a więc w broni, amunicyi a głównie w pieniądzach, domaga się stale akcyi ze strony serbskiej. Zagrożona więc od zewnątrz ze wszystkich stron, a nawet ze strony perfidnej protektorki a nadto fermentu w wewnątrz kraju i armii, ostro krytykujących obecną sytuacyę, podejmuje Serbia raz w raz ofenzywę z jednakowym zwykle rezultatem t. j. klęski. Tak się przedstawiają sprężyny poruszające armią serbską i nieudały ostatnio atak Serbów na Zemuń, gdzie zjechał nawet książę Jerzy. W czasie przymusowo krótkotrwałego pobytu w tem mieście, zdziwionem wprost europejskiem zachowaniem się jego wojsk, zapowiedział on że ta wizyta powtórzy się jeszcze niebawem w czasie dalszego wykonania planu armii serbskiej i rosyjskiej t. j. — „wzięcia Budapesztu z dwóch stron“. Od północy maszerują, według słów księcia serbskiego wojska rosyjskie z całą gwałtownością i „powodzeniem“, od południa zaś pójdą





Sztab armii serbskiej w głównej kwaterze. **Na południowym terenie wojny:** Zwłoki serbskich żołnierzy na pobojowisku.



Na południowym terenie wojny: Mieszkańcy Belgradu przypatrują się bombardowaniu twierdzy z fortów Zemunia.

jego armie na postanowione *rendez-vous* w stolicy Węgier. Niestety, twarda rzeczywistość przerwała te pobożne życzenia, wojska serbskie zostały przepędzone z powrotem do swej ojczyzny, unosząc wraz z dumnym planem setki rannych, których zdążyły zabrać. Pośpiech odwrotu był tak szybki, że mniej sprawni, w pokaźnej liczbie ponad tysiąc, dostali się do niewoli austryackiej. Śmiała ta dywersya Serbów skończyła się fiaskiem, rozgoryczając aranżerów i biednych aktorów t. j. wojsko.

Dla wojsk austryackich był to epizod przewidziany co do przebiegu, lecz wspanialszy od spodziewanego rezultatu. Obok niego są jeszcze i inne świadczące o jednem, co mimo wszystko podnieść należy, a mianowicie śmiałą inicyatywę i odwagę armii serbskiej, nie odstręczanej niepowodzeniami. Szkoda, że wysiłki jej tak nieużytecznie kierowane, przyczyniają się tylko do ostatecznego upadku całego państwa, z czego nie podniesie się rychło.



Na południowym terenie wojny: Serbski następca tronu ks. Jerzy.



Na południowym terenie wojny: Gmach ministeryum wojny w Belgradzie.

Do beznadziejnych dygresyi zaliczyć też można inwazyę serbską do Bośni. Serbowie wtargnęli tam przez odsłonięty Wyszegrad i już po drugiej stronie Driny przeszli Bośnią do Srebrnicy. Tutaj jednak spotkali się z wojskiem austryackiem i po pobiciu przez nie całej kolumny północnej, odrzuceni zostali z powrotem za Drinę do Bania-Baszta, przyczem stracili cały tren i oddział amunicyjny. Podczas tej klęski prawego skrzydła centrum serbskie pod komendą byłego ministra wojny generała Miłosza Bożanowicza, doszło do równiny Romania, gdzie po dwudniowej morderczej bitwie zostało rozbite. Szybka a bezładna ucieczka uchroniła wojska serbskie od dostania się całej armii do niewoli. Bardzo liczne trupy, porzucona broń, nawet armaty, a także setki jeńców pozostały jedynym śladem tej nieudałej ofenzywy serbskiej w tym kraju.

Nie lepiej powiodło się złączonym siłom serbsko-czarnogórskim, które wtargnęły do wschodniej Bośni pod dowództwem generałów Wukowicza i Rajewicza. Posunęły się one już dość głęboko w głąb kraju, lecz także zostały rozbite i odepchnięte ku Foczy, a następnie za granicę.

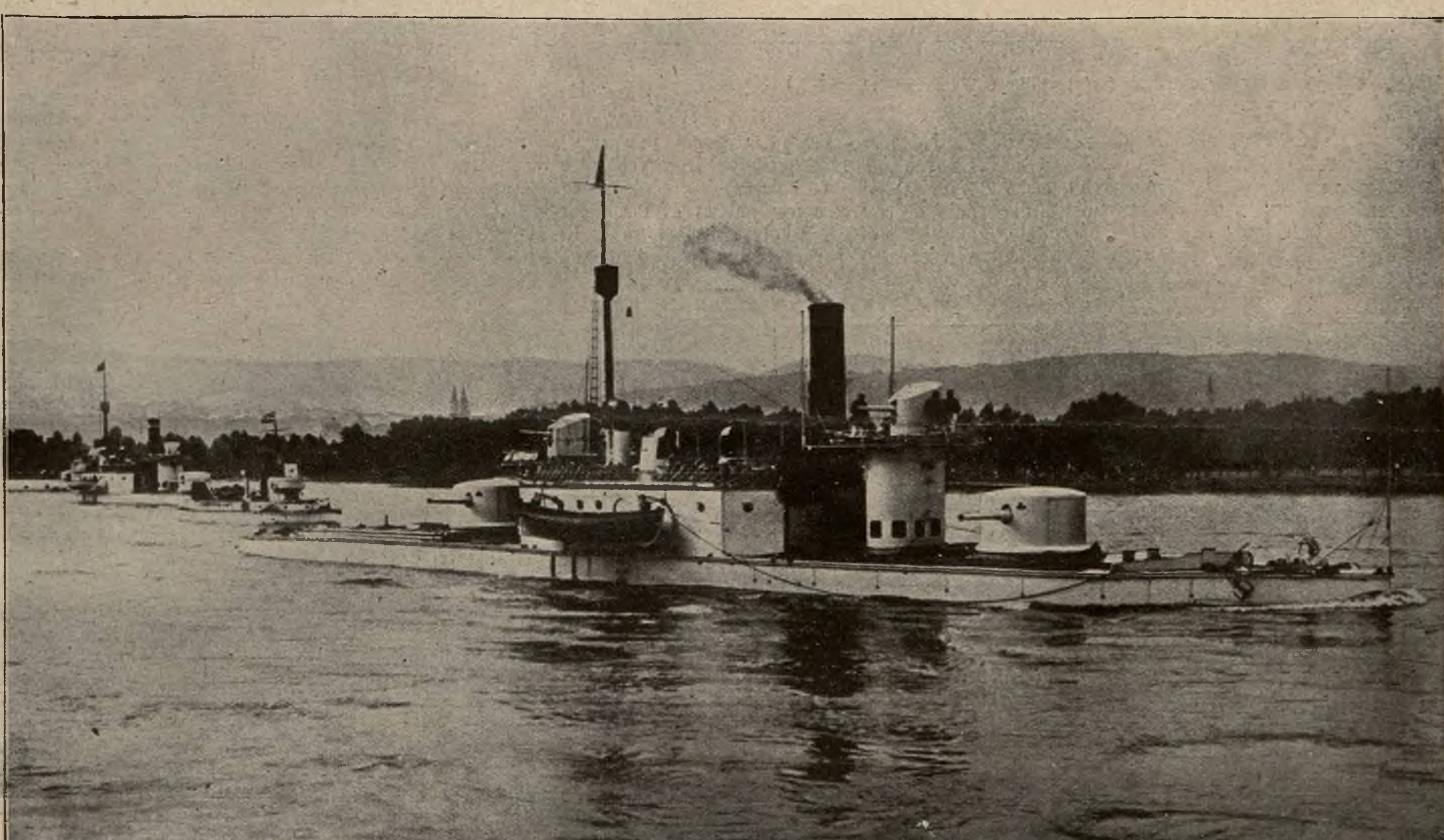
Wiadomości urzędowe podnoszą waleczność wojska austryackiego, tak zwycięsko odpierającego walących z furyą Serbów.

Nie mogąc sprostać naszym żołnierzom w otwartym boju, pozwalają sobie Serbowie na bezbronnych rannych i niewinnych mieszkańcach Bośni, których mordują w bestyalski sposób.

Na południowym terenie święci oręż austryacki zasłużone tryumfy, a szczupłe nasze siły walczą zwycięsko z dzikim nieprzyjacielem.

Nasi ranni.

Smutne jest pokłosie wojny, setki zabitych i rannych pada w każdej większej bitwie po obu stronach. A jednak mimo większego wyrafinowania obecnej walki i morderczej broni oraz liczniejszych wypadków zranienia, mniejsza jest obecnie śmiertelność wśród ofiar, których nawet bardzo ciężkie obrażenia leczą się szybko i pomyślnie. Zasługa to opieki nad rannymi, jaką każda armia współczesna



Na południowym terenie wojny: Austryackie monitory na Dunaju.



Największa w dziejach bitwa: Dragoni francuscy przy karabinie maszynowym.



Na południowym terenie wojny: Kobiety serbskie ćwiczą się w strzelaniu.

stara się roztoczyć. Armia austryacka, stojąc w linii pierwszych w Europie, ma opiekę lekarską i doraźną pomoc zorganizowaną doskonale. Za oddziałami wojska ciągnie cała prawie armia sanitaryuszów oraz szpitale polowe. Każdy ranny, nawet lżej, zaraz po pierwszem opatrzeniu bywa przesłany do szpitali pułkowych w spokojnych miastach monarchii, gdzie przebywa czas rekonwalescencyi aż do zupełnego dojścia do zdrowia.

Wszystkie też większe miasta monarchii, oddalone od terenów wojny, są obecnie przytułkiem dla naszych rannych, którzy zapełnili nie tylko szpitale, ale także i większe gmachy rządowe i prywatne, lecząc się tam pod opieką lekarską. W pomoc zawodowym pielęgniarzom przychodzą panie ze wszystkich sfer, pielęgnujące ofiarnie chorych.

Troskliwość lekarzy i dobrowolnych sanitaryuszek osładza ciężką dolę rannym, a obecny stan wiedzy medycznej pozwala niejednemu szybko przywrócić całkowite zdrowie i wyruszyć z powrotem na pole walki.

Jedna z naszych illustracyi przedstawia grupę rannych oficerów Polaków, leczących się w pułkowym szpitalu w Budapeszcie, wśród których znajduje się znany u nas publicysta inż. Henryk Mianowski, profesor szkoły przemysłowej w Krakowie, a rezerwowy porucznik lwowskiego pułku piechoty.

Największa w dziejach bitwa.

Już przeszło od miesiąca toczy się we Francyi olbrzymia bitwa, rozciągająca się na froncie, liczącym do 300 km. długości. Teren ten sam stanowi więcej niż połowę średnicy Francyi z zachodu na wschód, zajmując prawie całą Szampanię i część Pikardyi od północy. Bitwa ta wojsk francusko-angielskich z niemieckiemi, to właściwie cała obecna wojna Francyi z Niemcami, która po całym szeregu walk na granicy belgijskiej i w Wogezach w tem miejscu doszła do rozstrzygającego nasilenia. Każda ze stron walczących, zajmująca milionowe armie, olbrzymie parki artyleryi wszelkich kalibrów, podejmuje raz wraz ofenzywę, utrzymując bezustannie walkę na którymś z punktów długiego frontu. Każdy atak niemiecki powoduje wściekłe kontrataki Francuzów, walczących jak lwy w obronie poważnie już zagronej ojczyzny. Mimo zajęcia tak ważnych twierdz jak Laon, La Fère i Reims musieli je Niemcy opuścić, parci przez sprzymierzone armie poza rzekę Aisne, gdzie ufortyfikowawszy się chwilowo, obecnie wyruszyli do powtórnej ofenzywy.

Homeryckie te zapasy, wraz z nieprzeliczonemi masami uczestników, nie znane w historyi, dają się porównać jedynie do wędrówki ludów. Starcia ówczesne miały jeszcze łagodniejszy charakter od zapasów śmiertelnych najkulturalniejszych państw współczesnej Europy.

Doprowadzenie do kulminacyjnego punktu walk, gdzie operujące armie spotykały się na krótkim dy-



Na południowym terenie wojny: Wynoszenie rannych żołnierzy serbskich podczas przerwy w walce



Nasi ranni: Polscy oficerowie w szpitalu wojskowym w Budapeszcie. (X) Prof. Henryk Mianowski z Krakowa.



Na południowym terenie wojny: Patrol austryacki nad Driną

stansie, nie daje im możności wyszukania sobie odpowiedniego terenu. Obchodzi się to przez sztuczne wzmocnienie go, lecz przedewszystkiem przez zgrupowanie w słabszych punktach możliwie najsilniejszego oddziału artyleryi, utrzymującego morderczy ogień aż do chwili decydującej, t. j. do możności posunięcia się na lepsze miejsca, naprzód, albo też koniecznego cofnięcia się, wskutek podobnego albo silniejszego manewru armat nieprzyjacielskich.

Walka innych broni schodzi obecnie na drugi plan i przechyla już ostatecznie szalę zwycięstwa, „oczyszczanie, przygotowanie terenu“ oraz asekuracyę piechoty robi artylerya. W potocznym języku znaczy to, że artylerya, zająwszy jakąś pozycyę, znosi wszystko, co przed nią leży.

Stąd straszne spustoszenia w okolicach, gdzie



Największa w dziejach bitwa: Francuska piechota w linii tyralierskiej.

odbyły się takie armatnie pojedynki, a zmierzające pod tym ogniem do ataków brygady zaścielają setkami trupów pola.

Ten właśnie charakter bitew przy użyciu strasznych dział i pocisków współczesnych, kierowanych bezwzględną ręką zaciekle walczących żołnierzy, czyni z toczącej się obecnie we Francyi bitwy największą, ale też i najokropniejszą walkę w dziejach ludzkości. Wściekła rozpacz Francuzów, podnieconych dotychczasowemi klęskami, nie zapowiada szybkiego ukończenia tej bitwy, a przesyłane im przez Anglię z całego świata posiłki umacniają ich szeregi, łamane raz po raz przez straszliwe ataki Niemców.

Na tle pięknej sceneryi przyrody Szampanii rozgrywa się ten straszliwy dramat dwóch sąsiednich narodów, którym widać Opatrzność dla wyższych celów każe obecnie zetrzeć się w tych piekielnych iście zapasach.



Największa w dziejach bitwa: Piechota niemiecka na pozycyi

Krakowski korpus audytorów.

Sądownictwo wojskowe armii austryackiej właśnie w pamiętnym roku 1914. uległo gruntownej



Największa w dziejach bitwa: Atak piechoty francuskiej.

przemianie, wprowadzono bowiem nową procedurę w miejsce dawnej, nie odpowiadającej już duchowi czasu, sięgającej bowiem prawie panowania cesarzowej Maryi Teresy.

Nowa ustawa karna wojskowa długo pokutowała po biurach różnych referentów, jakiś czas stanowiła kość niezgody między obiema połowami monarchii, które nie chciały się zgodzić na poszczególne paragrafy kodeksu, ostatecznie przecież doczekała się uchwalenia przez ciała prawodawcze i sankcyi cesarskiej.

Według nowej procedury czynność audytora woj-



Niemiecki telefon polowy.



Największa w dziejach bitwa: Artylerya niemiecka ustawia ciężkie działo na pozycyi



Krakowski korpus audytorów: Grono audytorów wojskowych z przełożonymi sądów dywizyjnych w pośrodku.

skowego, który dotychczas w jednej osobie był sędzią śledczym, kierującym rozprawą, prokuratorem i obrońcą, została o tyle zmodyfikowaną, iż poszczególne działy przekazano różnym osobom, wobec czego pomnożono liczebnie korpus audytorów i ułatwiono w ten sposób, przynajmniej na razie, warunki awansu.

Jedną z głównych reform jest ponadto dozwolenie używania w czasie rozprawy języka ojczystego, jakim posługuje się oskarżony i dopuszczenie obrońców, nawet ze stanu cywilnego, o ile uzyskają w tym celu zatwierdzenie ze strony ministerstwa wojny, ewentualnie obrony krajowej.

Wogóle nowa ustawa niewiele się różni od ustawy karnej, obowiązującej w sądach cywilnych, jest zaś stanowczo łagodniejszą od poprzedniej wojskowej, która w niektórych swych paragrafach była zbyt surową.

Najniższą instancyą są według nowej karnej procedury sądy brygadowe, po nich idą dywizyjne, najwyższą wreszcie jest trybunał we Wiedniu. Wojsko liniowe i obrona krajowa posiadają odrębne sądownictwo.

W niniejszym numerze podajemy illustracyę, przedstawiającą grono krakowskich audytorów wojskowych wraz z kierownikami obu sądów dywizyjnych, liniowego i obrony krajowej. Należą oni do różnych narodowości, jest jednak między nimi i kilku Polaków, wszyscy zaś cieszą się w mieście sympatyą i uznaniem dla swej głębokiej wiedzy prawniczej i prawdziwie obywatelskiego postępowania.



Austryacka haubica na pozycyi.



Największa w dziejach bitwa: Dowódcy armii francuskiej, generałowie Pau (1), Joffre (2) i Castelnau (3).

Mali bohaterowie.

Obecna wojna, aczkolwiek toczy się niezbyt długo, obfituje w cały szereg zjawisk nieprzewidzianych, które sprawiły niespodziankę nawet najbardziej przewidującym. W dziedzinie polityki nie stało się wprawdzie nic takiego, czegoby już nie wykazała historya, sposoby walki zmieniły się tylko w środkach, charakter pozostał odwieczny — jedno jest tylko obecnie zjawisko zastanawiające, choć także głębiej obserwowane, okazujące swą odwieczność, tj. natura ludzka i oddziaływanie na nią przypadku. W tej dziedzinie dzieją się niezwykłości, rozcinające nieraz największe powikłania i kalkulacye. Tak się ma rzecz z psychiką współczesnego człowieka, uważaną za wielce odmienną od dawnej. Epoka nasza, z małymi wyjątkami wychowywała ludzi do wszelkich celów, tylko nie do wojny i bohaterstwa. Usytematyzowane życie nasze, płynące dotychczas mniej lub więcej szaro nie sprzyjało rozwojowi w nas pierwiastków bohaterstwa t. j. spontanicznego reagowania na niespodziany wypadek, wymagający wysiłku woli i postawienia na jedną kartę wszystkiego. To też w naszej epoce byli „cisi pracownicy“ o benedyktyńskiej pracowitości, „genialni badacze“ o żywym mózgu, lecz suchem sercu, i rzadkie wypadki „poświęcenia się“ na korzyść czyjąś lub ogółu, lecz były to wyjątki, odstające od ogólnego tła jednostkowej pracy, pracy przedewszystkiem na swój rachunek a także i ogólny, gdy ten pokrywał się z poprzednim. Wojna jest poniekąd „przewrotem wszystkich wartości“, a obecna wykazała, że współczesny człowiek zdolny jest do wszelkiego bohaterstwa w każdej dziedzinie i do wysiłku oraz poświęcenia, czego mu nawet nie przypisywano.

Jako niezbity dowód żywotnego istnienia w naszych duszach lepszych ziarn i skłonności, które tylko przez brak okazyi do przejawu zasłaniał egoizm, jest zachowanie się i bezpośredni udział młodego pokolenia w rozgrywających się wypadkach. Na hasło wskrzeszenia Ojczyzny porwały się tysiące naszej młodzieży do walki z odwiecznym wrogiem. Liczne, i to bardzo młodociane jednostki nie mogąc iść za starszymi w innej dziedzinie, tu na miejscu pomagając w ciężkiej a błogosławionej działalności samarytańskiej, pracują dla dobra ogółu. Do tej grupy młodocianych bohaterów zaliczyć należy przedstawionych przez nas dwóch malców, którzy pociągnęli z ojcem na wojnę i tam dzielili z nim wszystkie trudy i niebezpieczeństwa, na jakie byli narażeni.

Są to dwaj synowie Antoniego Reisnera, fürera w pospolitem ruszeniu z Dunajowa pow. Przemyślany — 13-letni Franciszek i 12-letni Adam. Nie



Największa w dziejach bitwa: Piechota angielska w walce.

chcąc rozstawać się z kochanym ojcem poszli wraz z nim na wojnę i przy jego boku na linii przebyli cały miesiąc walk w Galicyi wschodniej. Podczas bitew podawali ojcu i jego kolegom naboje i żywność,



Upadek Antwerpii: Jeden ze zbombardowanych domów na przedmieściu

wychodząc cało dziwnym trafem z tak wielkiego niebezpieczeństwa. Dwaj ci malcy są żywym protestem przeciw srogiemu wyrokowi pesymistów, że spodlała dusza ludzka. Dzieci te zaprzeczyły temu dowodnie.



Największa w dziejach bitwa: Automobilowe działa angielskie.



Na lądzie, w wodzie i w powietrzu: Stacya austryackiego telegrafu polowego.




Mali bohaterowie: Pospolitak Antoni Reisner z Dunajowa, z dwoma synami towarzyszącymi mu na wojnie.

Na lądzie, w wodzie i w powietrzu.

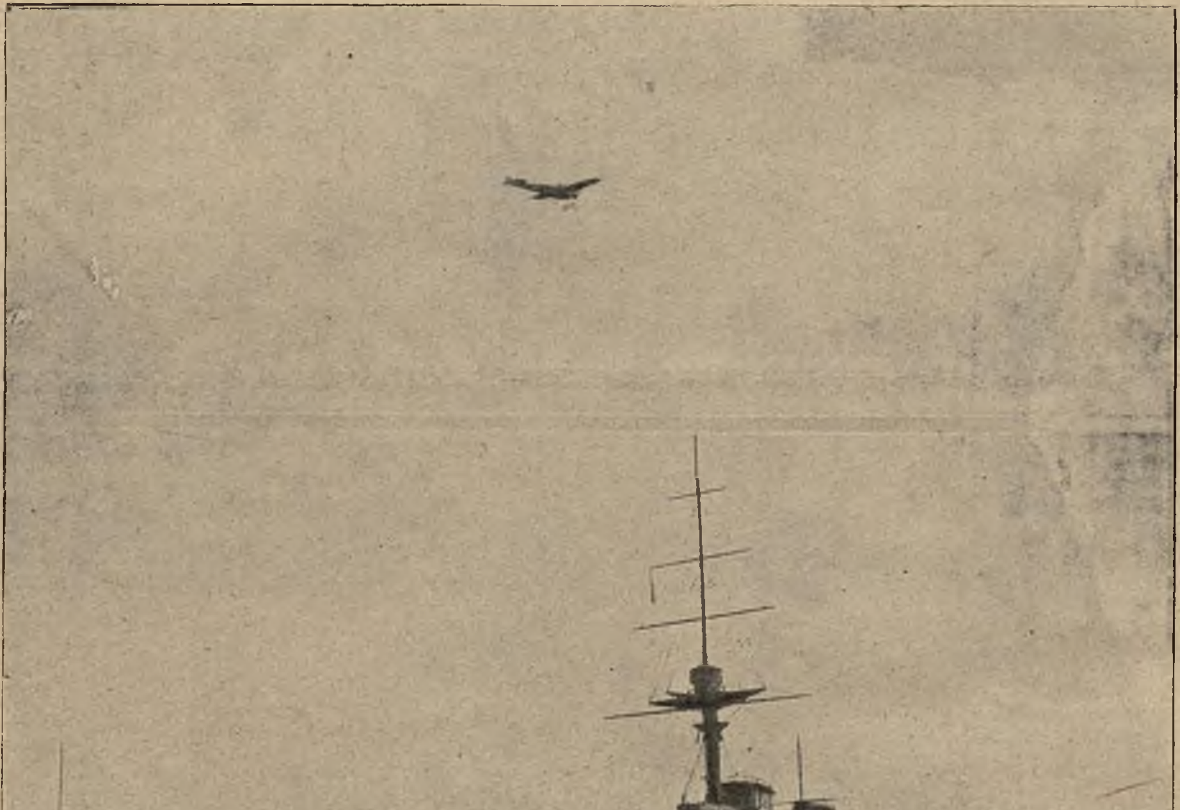
Wiek XX., który dokonał tylu przewrotów we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego, zmienił również zasadniczo i charakter wojny współczesnej. Straciła ona zupełnie swą dawną malowniczość rycerskich walk i stała się tylko zapasami artyleryjskiej techniki i wytrzymałości żołnierza. Dalekonośność i straszna niszcząca siła pocisków uczyniła współczesną bitwę prawie niewidzialną. Wrogie armie, ukryte w okopach, staczając ze sobą śmiertelny bój, często nie widzą się wzajemnie, a o walce świadczy tylko huk armat i pękające pociski, jak gdyby rzucane przez jakąś tajemniczą niewidzialną potęgę...

Bożek XX. wieku — technika — zwyciężył Marsa i on kieruje dzisiaj losami bitew i wojny. Wszystkie wynalazki są dziś na usługach wojny, która idzie krok w krok ze zdobyczami techniki.

Gdy człowiek wtargnął do głębin morskich (łodzie podwodne) i ujarzmił powietrze (balony ze sterem i aeroplany) — i wojna zdobyła również nowe tereny i sposoby walki, toczącej się dziś na lądzie, w wodzie i w powietrzu...

To zastosowanie wszystkich zdobyczy ducha ludzkiego w wojnie dokonało przewrotu w dotychczasowem ustosunkowaniu sił zbrojnych. Już w obecnej wojnie pokazało się, że olbrzymie okręty wojenne, istne pływające twierdze, budowane z olbrzymim nakładem kosztów, mogą stać się bezbronną igraszką maleńkiej łodzi podwodnej i jej torped... Tak samo i aeroplan — ów „gołąb", rozrzucający z zawrotnej wysokości bomby, stał się groźnym przeciwnikiem, który drwi sobie z niezdobytych fortów i szańców i może siać zniszczenie w nieprzyjacielskim kraju.

Plastyczne zestawienie tych nowych potęg we współczesnej wojnie widzimy na naszej illustracyi, przedstawiającej olbrzymi dreadnought, a nad nim i pod nim małe, lecz tem niebezpieczniejsze narzędzia współczesnej walki: aeroplan i łódź podwodną.



Na lądzie, w wodzie i w powietrzu: Narzędzia nowoczesnej walki — aeroplan, dreadnought i łódź podwodna



Przed rozstrzygającą bitwą w Polsce: Feliks hr. Meerwald, mianowany szefem niemieckich władz cywilnych w Królestwie Polskiem.

ODGŁOSY WOJENNE.

W Krakowie.

Łzami i kwiatami żegnano tych, co szli walczyć z odwiecznym wrogiem Polski, co szli zwyciężać i umierać „na polu chwały“... A oni szli z uśmiechem na ustach, choć niejedno serce gryzł robak tęsknoty i żalu... Tu zostawiali wszystko najdroższe: żony, dzieci, kochanki... A tam — kule, rany i śmierć... A jednak szli pełni zapału — szli, jak rycerze Polski...

Odpłynęły tysiączne fale na pole walki, a wśród pożegnań słychać tylko było słowa:

— Do widzenia w Warszawie...

Warszawa — ta wielka męczenniczka Polski, nie obmyta jeszcze z krwi roku 1905 — stała się znów gwiazdą wschodzącą nowego życia narodowego — krwawym wschodem naszej lepszej przyszłości... Ona wiedzie nasze legiony w bój — ona jest słońcem, które nam przyświeca w mrokach pożogi wojennej, jakiej jeszcze nie było na świecie.

Idą wszyscy: i ci, których żegnają drogie serca i ci, którzy biorą ze sobą wszystko najdroższe — swą rozpacz i swą tęsknotę za nieziszczalnem szczęściem, którzy „nie mają już nic do stracenia“... Jednych żegna rozpłakana miłość — drugich błysk nadziei, że przynajmniej w godzinie bohaterskiej śmierci przyjdzie Ona... Wszak dla niej umiera, bo w jego sercu Ona — to wszystko najdroższe, to świętość, to Polska!...

* * *

Po ulicach płynie gwarna fala ludzka, a po kawiarniach strzelają korki szampańskie i grzmią kapele skocznemi dźwięki... Lecz przysłuchajmy się muzyce dziejów światowych choć jedną sekundę! Wyjdźmy ze skorupy ślimaczej bezpośredniego życia i spójrzmy w otchłań przestrzeni... Dokoła przewala się krwawa fala przewrotu dziejowego... Tu cisza — a o kilkadziesiąt zaledwie kilometrów grzmią armaty, zmagają się milionowe armie, a tysiące istnień ludzkich zaściela swemi trupami pobojowiska... Tu błyszczą światłem kinkietów kawiarnie, a dookoła rzuca krwawe blaski łuna płonących wsi i miast. Tu rozbawione kobiety i urok szczęścia — tam walczą i giną męczeńską śmiercią milionowe rzesze bohaterów.

Dokoła walka i śmierć, a tu nawet tragiczne odgłosy wojennych zmagań brzmią jakimś dziwnym dysonansem.

Ciągną ponurym sznurem furgony, wozy i wózki, przepełnione rannymi... Wracają ci, co zaledwie przed kilku dniami żegnali Kraków — uśmiechnięci, weseli, radośni... Wracają z wykrzywionymi bolem twarzami — a dookoła tłum, śmiejący się, rozbawiony, patrzący na ten poważny i smutny korowód, jak na zgotowane ku jego uciesze widowisko...

Wśród szpaleru ciekawych tłumów ciągną ulicami Krakowa wozy z rannymi — smutne, choć nieuchronne żniwo zwycięstw i chwały wojennej... A ten majestat bohaterstwa i męczeństwa miesza się ze skocznemi dźwiękami restauracyjnej kapeli na Plantach...

Tragiczny dysonans pokoju i wojny, życia i śmierci... Dysonans stary, jak świat, a tak zwykły, jak człowiek.

* * *

W ogniu bitwy.

Jak wygląda współczesna bitwa? Według zgodnego opowiadania uczestników obecnych walk, nikt nie może sobie wyobrazić tych strasznych zapasów, kto ich sam nie widział i nie przeżył... Pewne pojęcie o przebiegu bitwy, a właściwie o jej epizodach i atmosferze współczesnej walki daje opowiadanie jednego z oficerów niemieckich, które poniżej zamieszczamy:

Major objął sam komendę mojego plutonu i ustawił go na pozycyi. Było to na prawo od naszej kompanii. Pociski przelatywały ustawicznie nad nami, lecz nie widzieliśmy nieprzyjaciela, gdyż był dobrze ukryty. Padały i granaty, wznoszące chmury piasku. Niektóre pękały nad dachami, ale bateryj widać nie było. Komendant batalionu oddalił się, aby sprowadzić dalsze kompanie; obok mnie leżał jego adjutant. Słyszę wyraźnie, jak kapitan każe mu donieść, że nieprzyjaciel jest w przemagającej sile i że trzeba posiłków. Pytam adjutanta, czy mam leżeć dalej na pozycyi.

— Na razie tak: leżeć.

Podnosi się i wraca do wsi. Zaledwie zniknął mi z oczu, widzę, że muszę działać sam. Posyłam dwóch żołnierzy z prawego skrzydła do kapitana z zapytaniem, czy mam go wesprzeć swoim plutonem. Czekam parę minut daremnie. Patrol nie wraca. Niema rady, muszę iść sam.

— Leżeć — komenderuję żołnierzom i pędzę do kapitana.

Po drodze dochodzi mnie rozkaz.

— Trzeci pluton ma wydłużyć się na lewo i wstrzymać nieprzyjaciela.

Nigdy jeszcze nie pędziłem z taką szybkością, jak teraz, i to po ściernisku, więc niezbyt wygodnie.

— Wstać! W prawo zwrot! Biegiem! Za mną!

Pałasz wybłyska z pochwy. Spostrzegam wyrwę w murze jakiegoś ogrodu.

— Tędy! Obsadzić mur! Powybijać dziury strzelnicze!... Panie kapitanie, jaki dystans?

— Wizyr na 700!

— Na lewo przed nami piechota w alei topolowej! Wizyr 700! Ognia!

Nieprzyjaciel właśnie podniósł się długą linią i podbiega. Zrobił kilka kroków i pada na ziemię, bo nasze karabiny zagrzmiały raz po razu. Dobrze celują nasi chłopcy. Linia nieprzyjacielska przywarła do ziemi i powoli zaczyna się grzechot karabinów, pociski gwizdają nam koło uszu.

Nadbiega patrol z meldunkiem.

— Panie poruczniku! Na lewo nieprzyjaciel, piechota.

Do licha! Na lewo, a więc z boku. Podrywam się z kilku ludźmi. Z trudnością przedostają się lufy karabinów przez gęsty żywopłot. Słychać okrzyki:

— Nic nie widzimy!

Przyklękam.

— Dawać karabin!

Trzymam go w ręku i przykładam do najbliższego pnia akacyi. Pień jest dość gruby, wylot przystaje zupełnie do drzewa. Pociągam za cyngiel i strzał wylatuje; karabin, zdawałoby się, pęknie, ale pień rozwalony na pół. Tylko ramię mnie boli od uderzenia. W jednej chwili żołnierze oryentują się, że to jedyny sposób i kilka otworów w żywopłocie zieje ogniem na nieprzyjaciela.

— Baczność! Drugi półpluton. Zająć grunt zorany na lewo!

Najdzielniejsi spieszą przodem. Pięciu czy sześciu, którzy się ociągają, popycha plutonowy niezbyt delikatnie. Teraz mamy za sobą żywopłot, przed sobą teren doliny; jakie 1800 metrów przed nami horyzont wolny zupełnie do strzału. Szalony ogień ręcznej broni wskazuje nam, że nieprzyjaciel zrozumiał nasz manewr. Ale za chwilę robi się cicho, bo nasz ogień poszedł ku nieprzyjacielowi. Na suchej roli wybornie można było obserwować skutki wystrzałów. Były celne.

— Cóż to? W samym środku linii nieprzyjacielskiej wznosi się olbrzymi, czarny słup dymu. Widzimy ciała wylatujące na parę metrów w górę. Straszliwy huk dochodzi do naszych uszu.

— Hurra! To nasza artylerya!

Zaczął się widok, trudny do opisania. Granat za granatem wszywał się w szeregi nieprzyjacielskie. Tak dokończono dzieła naszych karabinów. Nieprzyjaciela ogarnęła panika. Ale daremnie, oficer ze szpadą w ręku staje przed uciekającymi szeregami. Zawracają, podejmują walkę na nowo. Dochodzą na 500 metrów do naszej pozycyi i nasze karabiny pracują jak w gorączce. Wtem nowy grad szrapneli... teraz już ucieczka bez zatrzymania.

Zostaje tylko oficer, stojąc wyprostowany ze szpadą w ręku. Stoi niedługo...

Na lewo baterya nieprzyjacielska zakryta łanem owsa. Celuje nie do nas, lecz do wsi. Ogień zwalnia, potem ustaje. Nie widzimy dobrze, gdzie działa stoją. Nagle słyszę:

— Panie poruczniku! Artylerya na wzgórzu!

Prędko lornetkę do oczu. Chmura pyłu, z niej wybłyskuje bronz działa, migają uszy końskie. Cisza grobowa. Żołnierze legli na ziemi, głowy zwrócone ku komendantowi.

— Artylerya wprost! Wizyr 1500, 1600. Cel! Pal!

Strzały poszły trochę za blizko.

Wizyr 1700! Wyjąć naboje! Ognia!

Gruchnęło. Po całej linii naszej przeleciał okrzyk:

— Poszło!

W istocie strzały tym razem trafiły. Nie strzelaliśmy dłużej, jak 25 sekund szybkim ogniem. Zakłębiły się na wzgórzu konie i ludzie, działa i jaszczyki. Znikli.

Teraz na drugą stronę.

— Wizyr 900! W prawo zwrot, biegiem! Ognia do nieprzyjaciela uciekającego przez owies! Pal!

Celujemy spokojnie, jak na strzelnicy. Na drugi dzień poznajdowaliśmy ciała za półkopkami, całe stosy.

W zbombardowanem mieście.

Decydujący głos w bitwie współczesnej ma artylerya. Olbrzymie działa rozstrzygają losy walk w polu i obracają w perzynę najsilniejsze twierdze i miasta... To straszne żniwo wojny opisuje korespondent „Coriere dela Sera“, Luigi Barzini, który daje następujący wstrząsający obraz zbombardowanego miasta:

Pringy, Mausigny, Automne, Chambry są doszczętnie spalone. Zapach spalenizny rozchodzi się wokoło. Domy i stodoły dopalają się gdzieś w dali. Przed nami jakaś wyniosła wieżyczka, poprzestrzelana ze wszystkich stron wznosi się jeszcze prawie cudem. Jest to Barcy. Niema tu prawie domu, któryby nie został zniszczony przez kule armatnie. —

Wewnątrz domów widnieją jeszcze szczątki mebli, po których poznać, że panował tutaj dobrobyt. Obok domów przestronne podwórze, którym jakoby uśmiech wesela dodawały stare, wysmukłe topole, dalej stajnie i obory, a za niemi ogród owocowy i warzywny. Niektóre z tych zabudowań płoną jeszcze. Spotykałem podwórza, przypominające mi śmietniska, na których spotkać można było najrozmaitsze rzeczy do użycia i nie do użycia, zbabrane skrzepłą krwią. Pierwszej pomocy sanitarnej udzielano po korytarzach i sieniach. Śmierć spotykała rannych właśnie w tych miejscach, a teraz patrole wojskowe wyszukują trupy i grzebią je opodal. —

W progu jednego z tych domów ustawiony jest, jakby na urągowisko, przez żołnierza, którego humor nawet w tak okropnej chwili nie opuścił, manekin jakiejś krawcowej. Dach kościoła jest zniesiony, światło dzienne zagląda ze wszystkich stron do tej małej świątyni gotyckiej, której okna i witraże rozwarły granaty na oścież. Ze wszystkich mieszkańców pozostała tylko jakaś staruszka, która patrzy przez otwarte drzwi z głębi owej ciemnej chałupy oczami przestraszonego zwierzęcia, przelęknionego tem, co się dzieje, spokojnego i nieruchomego. Dziwna rzecz, gdy wszyscy pouciekali, znajdzie się zawsze staruszka, która pozostaje jakby na straży rumowiska.

Przy końcu wsi zbliża się jakiś ciężko ładowany wóz, ciągniony przez woły; jest on pełen trupów, których głowy zwieszają się ruchomo, a ręce składają się jakby do ostatniego gestu pożegnalnego.

Przed wozem kroczy naprzód piechur wyniosły, kościsty, poważny, o siwych wąsach, który niesie oburącz, przyciskając do piersi worki i woreczki. Jakiś oficer pyta się go, co niesie. Piechur prostuje się i odpowiada:

— Mój kapitanie, to są pieniądze zabitych.

Kronika tygodniowa.

Z kilku stron otrzymałem już zapytanie, dlaczego dotąd nie zacząłem opisu mych przygód wojennych. Nie mogąc odpowiadać z powodu braku czasu każdemu z osobna, zawiadamiam wszech wobec, iż na przeszkodzie stanęły Kuczki. Aczkolwiek bowiem do narodu wybranego nie należałem, nie należę i z łatwo zrozumiałych powodów należeć nigdy nie myślę, w czasie Kuczek przecież w podróż z zasady się nie wybieram, gdyż wiem, że wtedy można się z całą pewnością spodziewać niepogody.

I pokazało się, że miałem najzupełniejszą racyę. Od tygodnia mamy pogodę prawdziwie „pod psem“, nie dość, że kapie z góry, zimno nastało tak przenikliwe, iż, kto jest w tem szczęśliwem położeniu, że może się nazwać właścicielem futra, wyciąga je na gwałt ze szafy lub Zakładu zastawniczego, nie bacząc wcale na żadne moratoryum.

Niewiasty przepowiadają wprawdzie, że sytuacya jeszcze się poprawi, gdyż dotąd nie było babiego lata, a bez tego się nie obejdzie, ja przecież pozwalam sobie wątpić. Lato obraziło się na babski rodzaj, który je lekceważył. Sami przecież widzieliśmy, iż płeć nadobna, nawet przy trzydziestu stopniach ciepła, nosiła futrzane boa, robiła więc z lata zimę, a to się musiało zemścić.

Tyle razy cierpieliśmy już z powodu niewiast, jedna kropla więcej nie przepełni kielicha goryczy, a kiedyś, po najdłuższem życiu, będzie nam to policzonem, że pokutowaliśmy za winy niepopełnione.

Nie pojechałem więc i dziś tego nie żałuję, byłbym się bowiem na pewno zakatarzył i przeziębił, zresztą, co się odwlecze, to nie uciecze... Chyba wojna nie skończy się tak rychło, bym już nie znalazł sposobności stawić mężnie czoło wrogowi. W najgorszym wypadku poproszę o zastępstwo którego z młodszych kolegów redakcyjnych, młodsi zaś mają, jak wiadomo, daleko bujniejszą fantazyę niż my, stara gwardya.

P. T. Czytelnicy nie stracą więc na tem, owszem mogą tylko zyskać.

Zresztą, powiem prawdę, choćbym był mógł nawet wyruszyć, nie wiedziałbym, dokąd się udać, wojna wre bowiem i na prawo i na lewo, na północy i południu, trudno zaś rozerwać się na kawałki, by być wszędzie obecnym. Na wschodnim i północnym terenie cholera, lepiej nie narażać się samochcąc na zakażenie, na zachodzie, we Francyi, zbyt gorąco, zwłaszcza dzięki Zeppelinowi. Musiałby człowiek stale chodzić pod jakimś pancernym parasolem, by mu z wyższych sfer nie spadło co na głowę. Nie lubię, gdy gołębie z kościoła Maryackiego są niegrzeczne, cóż dopiero mówić o Zeppelinie i jego bombach!

A nie tak to dawno temu, jak naśmiewaliśmy się z katastrof jego balonów, a nawet śpiewali:

„Od komina do komina
Leci balon Zeppelina...
Lecz nareszcie pękła lina.
Dyabli wzięli Zeppelina...“

Tymczasem teraz on kpi sobie z Francuzów i Anglików, którzy nabawili się sztywności w karku od ciągłego spoglądania w niebo, czy przypadkiem nie leci.

Ostatecznie najbezpieczniej byłoby człekowi na południowym terenie walki, to jest w Serbii, jadąc tam trzebaby się przecież zaopatrzyć w odpowiednią ilość proszku perskiego, który jest tam potrzebniejszy, niż proch strzelniczy.

Tyle, sądzę, na me usprawiedliwienie zupełnie wystarczy.

W dalszym ciągu muszę odpowiedzieć i na drugą interpelacyę, jaką otrzymałem z Cieszyna, od jednego z żołnierzy 31 pułku pospolitego ruszenia, który zarzuca mi, iż wyśmiewam się z pospolitaków, gdy oni mężnie i z zapałem walczyli z przeważającemi siłami nieprzyjacielskiemi, nie ustępując wcale pułkom liniowym, złożonym z ludzi młodych.

„Byłoby lepiej — własne Jego słowa — ażeby Pan pisał rzeczy, na których się Pan rozumie, a nie o wojnie i nie obrażał tych, którzy w jeden dzień walki przeżyją więcej, niż Pan w całem swem życiu za zielonym stolikiem...“

Zupełną racyę przyznaję Autorowi listu, pozwolę sobie przecież zauważyć, iż wina bynamniej nie leży po mej stronie, raczej zaś po stronie Szanownego Interpelanta, który nie zrozumiał mych intencyi. Ja bynajmniej nie wyśmiewałem pospolitaków, jako takich, właśnie bowiem przy swym zielonym stoliku dowiedziałem się ze sprawozdań wojennych o ich bohaterstwie i zapale, z jakim szli w ogień, pokpiwałem sobie jedynie z tych i wyraźnie to zaznaczyłem, którzy nigdzie nie byli, a cuda o swem męstwie opowiadali.

A chyba przyzna mi każdy, że takich było i będzie dość, co przecież nie przynosi wcale wstydu pospolitemu ruszeniu, jako całości. Wiemy wszyscy, jakim duchem był przejęty i ile zdziałał, nieraz to zresztą podnosiły już z uznaniem *Nowości Illustrowane*.

Kronikarz jest więc w danym wypadku najzupełniej niewinnym, co zresztą przyzna sam Interpelant, jeśli kronikę ową zechce z uwagą przeczytać.

Obraził się na mnie i mój gospodarz, wyczytawszy, iż do osób, zasługujących na usunięcie z Krakowa, zaliczyć należy w pierwszym rzędzie kamieniczników.

By dać wyraz oburzeniu swemu, nadesłał list, w którym pisze między innemi:

„Ponieważ niejednokrotnie miałem już sposobność zauważyć, iż Wielmożny Pan odnosisz się do nas, właścicieli realności, z ogromną nieżyczliwością, zawiadamiam niniejszem, iż, korzystając z ciężkich czasów, z dniem pierwszego listopada podnoszę czynsz o dziesięć koron miesięcznie“.

Nie przeczę, że będzie mu miło zgarnąć o dziesięć koron miesięcznie więcej, ale to się po mnie nie pokaże, bym mu miał zrobić tą przyjemność. Raczej wolę zostać dłużnym, co mi się zresztą częściej zdarza, niż zapłacić tyle, ile żąda.

Na razie list powędrował do kosza redakcyjnego i spoczął w nim snem sprawiedliwych, czekając, rychło woźny redakcyjny użyje go... prawdopodobnie do podpalenia w piecu.

Zupełnie inną kwestyę porusza natomiast różowy, pachnący liścik, jaki również w tym tygodniu otrzymałem. Choć grafologiem nie jestem, a na kaligrafii mało się znam, co już swojego czasu stwierdził jeden ze światłodawców, który przed półwiekiem zaznajamiał mnie z tajnikami obojga abecadła (z kaligrafii miałem zawsze, co najwyżej, dostatecznie i to przy wielkiej protekcyi!...), poznałem zaraz, że autorką listu była niewiasta.

Czy ona jednak jest młodą i piękną, czy starą, a brzydką, tego powiedzieć nie potrafię, Sherlockowych bowiem zdolności nie posiadam. Przypuszczam wszakże, że musi być młodą, a naprowadza mnie na to treść listu, który brzmi:

„Laskawy Panie Kronikarzu!

W kilku pismach krakowskich wyczytałam z oburzeniem, iż jakiś bakteryolog z Pragi wzywa w dzienniku „Union“ ludność, aby, ze względu na spotęgowane w dzisiejszych czasach niebezpieczeństwo przeniesienia zarazków chorób zakaźnych, wstrzymała się obecnie od towarzyskiego zwyczaju podawania sobie rąk i, co gorsza, całowania się po rękach, a nawet w policzki i usta.

Zaprzestanie tej niehygienicznej nawyczki uważa czeski lekarz za konieczne przynajmniej na czas trwania wojny i tylu chorób zakaźnych.

Wyobrażam sobie, że ów bakteryolog czeski to stary człowiek i dlatego występuje przeciw całowaniu, znając zaś bezstronność Pana Kronikarza, sądzę, że udaję się na właściwą drogę, jeśli poproszę, by Pan w imieniu nas wszystkich kobiet przeciw temu zarządzeniu stanowczo zaprotestował... W czasie wojny nie powinno się biednym kobietom odbierać tak drobnej przyjemności, jaką jest całowanie. Jeszcze nie słyszałam, by ktoś, całując drugą osobę w usta, miał się zarazić dysenteryą, tyfusem lub cholerą.

Jeśli Pan uczynisz zadość memu żądaniu i zaprotestujesz, ale tak prawdziwie po męsku, zyskasz sobie naszą dozgonną wdzięczność.

Jedna za wielu“.

I cóż biedak mam począć?... By zadowolić niewiastę, protestuję w imieniu jej i wielu innych, niestety, przyznać muszę, że ów hygienista miał racyę, a dowód tego mam na samym sobie.

Żony swej nie pocałowałem już od lat dwudziestu pięciu i od tego czasu jestem zupełnie zdrów, pytam więc, dlaczego ów czeski bakteryolog miałby się mylić, zwłaszcza jeżeli jest, jak się spodziewać należy, już w tym wieku, w którym całowanie należy tylko do przyjemnych wspomnień.

Ktoby tam zresztą zajmował się całowaniem w tych wojennych czasach... Dziś każdy myśli poważnie, jak to zresztą miałem sposobność stwierdzić, przeczytawszy korespondencyę, rzekomo wiedeńską, zamieszczoną w jednem z pism krakowskich.

Tak mi się spodobała, iż wyjątek pozwolę sobie dosłownie przytoczyć, by adepci dziennikarskiego kunsztu mieli przykład, jak pisać nie należy.

Ubolewając, iż władze wiedeńskie zakazały aktorkom francuskim i angielskim występów na scenach rozmaitości we Wiedniu, tak dalej mówi:

„W przeciwieństwie do aktorek rdzennie wiedeńskich lub niemieckich wogóle, Francuzki i Angielki wnosiły na scenę variete ten smaczek niezmiernie ponętny, który wabił ku sobie coraz bardziej tłum nieoględny. Aktorka, wykołysana pewnym szamliwym (!!) na świat poglądem duszy niemieckiej, jest na scenie tinglu wyobrazicielką dobroduszności płciowej; filuterna Francuzka wytwarza natomiast atmosferę gorszącego połechtania nerwów, tak, jak Angielka gibkością członków, wiewnością ruchów galwanizuje nawet tłuszcz, opuklerzający nerwy. Niemka, choćby w kostyumie po kolana, daje rękojmię jakiejś dokładnie wykalkulowanej i usystemizowanej solidności; Francuzka po szyję, Angielka po napiętki pozapinane, budzą niepokój i rozniecają ciekawość, gotową gwoli własnego zadowolenia na hazardy nieobliczalnej flezyi. W ten sposób prostoduszna, tradycyom oddana psychika dozna je wstrząsnień, w czasie wojny zwłaszcza, zgoła niepożądanych. Wstrząśnieniom tym należało więc zapobiedz i występów francusko-angielskich w teatrach rozmaitości zakazać“.

Zwłaszcza użycie nowoukutego wyrażenia „szamliwy“, ogromnie mi się podoba, w imieniu całego polskiego społeczeństwa dziękuję też autorowi, iż raczył wzbogacić niem naszą mowę.

W tym samym artykule opowiada on i o kłopotach wiedeńskich szewców, krawców i t. d., którzy, wstydząc się umieszczonych na swych szyldach napisów francuskich i angielskich, pozalepiali je, zanim, jak mówi autor, „bogaty słownik niemiecki nie dostarczy wyrażeń bardziej salonowych niż „Schuster“ i „Schneider“.

Na to znajdzie się rada. Szewc może się nazwać zupełnie spokojnie „Techniker der oberen Fussbekleidung“, krawiec „radcą stanu“, kapeluszn k „fabrykantem instrumentów dętych na głowę“. W ten sposób będzie i wilk syty i owca cała, napisy będą czysto niemieckie, żaden zaś z rzemieślników nie będzie się potrzebował wstydzić swego fachu.

Znam w Krakowie jednego jegomościa, który ongiś przylepiał przyszczypki na obuwiu, dziś jednak, gdy się go kto zapyta, czem był dawniej, nie powie nigdy, iż był szewcem, ale opisuje to słowami:

— Ja, proszę pana, robiłem przedtem koło bucików.

Ani przypuszczałem, że drobiazgi zajmą tak wiele miejsca, a tyle jeszcze należałoby podnieść!

Przedewszystkiem więc trzeba zaznaczyć, że zapał wojenny w Niemczech nie stygnie bynajmniej, owszem, coraz bardziej się wzmaga, czego najlepszym dowodem jest dobrowolne zgłoszenie się słynnego ongiś kapitana z Köpenicku, szewca Voigta, do służby wojskowej.

Zgłoszenie przyjęto, nie przyznano jednak ochotnikowi rangi kapitańskiej, którą ongiś na mocy własnej nominacyi piastował, ale przeznaczono go do warsztatów, gdzie wyrabiają obuwie dla wojska.

Także powiększyła się liczba emerytowanych królów i królików, w ślady bowiem mbreta albańskiego mknie król belgijski, Albert, któremu sprzątnięto z przed nosa ostatnią fortecę, Antwerpię. Jest to ogromny sukces dla armii niemieckiej, siły bowiem, uwięzione dotąd w Belgii, mogą być teraz przerzucone do Francyi i przyczynić się do rychlejszego zakończenia wojny.

Anglikom to ogromnie nie na rękę, zwłaszcza, że pamiętają słowa Napoleona, który ongiś powiedział, iż ten, który posiada w swem ręku Antwerpię, przykłada tem samem pistolet do czoła Anglii. Woleliby stanowczo, gdyby tak cały konflikt dał się załatwić n. p. przez rozegranie partyi piłki nożnej. Kto zrobi bramkę, tem samem uznany zostaje jako zwycięzca.

W każdym razie stwierdzić należy, że sytuacya jest już stanowczo lepsza, a wnoszę to z coraz większej liczby „walecznych“, którzy, gdy było źle „wywiali“ z Krakowa, a teraz wracają i coraz częściej pokazują się w Esplanadzie i u Bisanza.

Zagadki do nagrody.

Krzyż magiczny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Litery poprzestawiać w ten sposób, aby powstały trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a e
e e e
e i i
i j j j j k k n n
n n s s s s s s s
s t t u u u w w w
w y y
z z z
z z z

Znaczenie wyrazów: 1. Wulkan we Włoszech 2. Osada w powiecie kaliskim. 3. Miasto w Syberyi.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Kiliński, Jeleśna

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

O! Gore a P. je pot, ser, nasz ogon i wasz cud.

Przysłowiówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nowe przysłowie:

1. Smutek w czasie tonie.
2. Nowa miotła dobrze zamiata.
3. Wiele hałasu o nic.
4. Rozmaitość bawi.
5. Ryba cuchnie od głowy.
6. Swięta Zofia kłoski rozwija.
7. Milczenie potwierdza.
8. Oko pańskie konia tuczy.
9. Mało zysku, dużo krzyku.
10. Młode piwo szumi.
11. Na dwoje babka wróżyła.
12. Nie urodzi sowa sokoła.
13. Miotłą biedy nie wymiecie.
14. Prosta droga najlepsza.
15. Ma się, jak groch przy drodze.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Kiliński, Jeleśna.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

E! Byk brał wozy, pot, lud i nogi.

Szarada.

Ułożył Eszet, Nowy Sącz.

Że *pierwsza z trzecią* w wielkiej pieczy
U pań bywa, nikt nie przeczy,
Zaś *drugie*, to zaimek pytający znany
I w mowie bardzo często używany;
Trzecia z pierwszą bawią oko,
Gdy wybiegłszy hen, wysoko,
Sieją światła kolorowe,
Piękne, zmienne i tęczowe
Całość za Zbruczem miasto położone,
Pod którem pewien polski hetman stary,
Oddał swe życie, niosąc je w obronę
Dla naszej drogiej ojczyzny i wiary

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiego poety.

— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Trucizna. 2. Zwierzę morskie. 3. Miasteczko na Podolu 4 Drzewo owocowe. 5. Kwiat. 6. Poeta polski. 7 Rzeka w Galicyi. 8. Nazwa tkaniny 9 Bogini grecka. 10. Część twarzy. 11. Ryba morska. 12. Broń palna. 13. Roślina strączkowa. 14. Miasto na Węgrzech. 15. Imię męskie. 16. Zdrobniałe imię żeńskie 17. Owad. 18. Imię męskie. 19. Zwierzę, żyjące na północy

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Sz. W. Kiliński, Kraków.

Podane litery poprzestawiać w ten sposób, aby powstało nowe polskie przysłowie:

E.. W... G.. da ci orzecha i brwi.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Cz Kozłowski, Warszawa

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego powieściopisarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Inaczej przyjęcie. 3. Właściwość. 4. Zanurzenie. 5. Samolub. 6. Niewola. 7. Zboże 8. Napój. 9. Tytuł angielski. 10. Przyimek. 11. Samogłoska.

Równanie.

Ułożył Adam Kiliński, Jeleśna.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego poety, w drugiem tytuł jego utworu.

$$\frac{a}{2} + \frac{b}{3} + \frac{c}{3} = x$$

$$\frac{m}{3} + \frac{n}{3} + \frac{o}{3} + \frac{p}{2} = y$$

Znaczenie wyrazów: a) Produkt otrzymywany z mleka. b) Polski rzeźbiarz. c) Hetman kozacki. m) Utwór poetyczny. n) Rodzaj wina. o) Wyspy na morzu Śródziemnem. p) Królowa polska.

Szarada.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Każdy te literki zna:
Pierwszą wprost i *wspak dwa,*
W trzecim umysł odpoczywa,
Całość w lecie się spożywa.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *M. Wierzbińskiego:* **Pięść Marcina Wilczka.**

Pod znakiem wojny.

(Kącik humorystyczny)

Pan doktor.

Dziś każdy bawi się naturalnie tylko we wojnę. Onegdaj spotkałem gromadkę dzieci, zajętą czemś ogromnie. Zbliżam się ku nim i widzę nosze, na nich zaś leżącego jednego z uczestników zabawy, poowijanego szczelnie chustkami i ręcznikami.

Lazaret polowy — pomyślałem sobie — i nie omyliłem się wcale.

Przypatrywałem się chwilę bawiącym się zuchom, szczególniejszą przecież uwagę zwrócił na siebie jeden z chłopców, który z ogromną powagą, dzierżąc w dłoni metrową miarę, postępował obok rzekomo rannego.

— Ten metr zastępuje ci zapewne karabin? — zapytałem malca.

On spoglądnął na mnie pogardliwie, w odpowiedzi wyręczył go zaś jeden z kolegów, który rzekł:

— Nie, proszę pana! To pan doktor!... On tym metrem mierzy chorym gorączkę!..

Skromne życzenie.

(Podsłuchane w handlu „pod Obrazem").

— I cóż radca kochany na te czterdziestodwucentimetrowe moździerze?

— Ano nic! To, panie łaskawy, piekielny wynalazek!... Co za dokładność strzału... jakie skutki!... Mój Boże, gdybyśmy tak mieli jeszcze takich czterdziestodwucentimetrowych dyplomatów, moglibyśmy się śmiać z całego świata!...

W Afryce.

— Cóż tam nowego w Europie, Jussufie?...

— Ano nic!... Jeśli tak dalej pójdzie, jak dotąd, to rząd francuski będzie się musiał w krótkim czasie przenieść z Bordeaux do Fezu...

Rekord światowy.

Okazuje się, że najdzielniejszą piechotę mają rzeczywiście Anglicy, według bowiem sprawozdania ich generalnego sztabu, żołnierz angielski jest w stanie przebyć dziennie pięćdziesiąt kilometrów. — W czasie ostatnich potyczek na ziemi francuskiej zdarzało się przecież, że piechurzy angielscy, choć teren był bardzo niewygodny, osięgali dzienną chyżość nawet i po sto kilometrów, działo się to jednak tylko wówczas, gdy mieli... niemiecką kawaleryę na karku.

Ewakuacya.

— Słyszałeś?... Rząd francuski przeniósł się z Paryża do Bordeaux.

— Naturalnie!... Przecież Paryż jest fortecą, więc na wypadek oblężenia wydała się z obrębu twierdzy wszystkich darmozjadów, którzy tam niepotrzebnie tylko zajmują miejsce...

Dyplomata.

(Dyalog ojca ze synem).

— I cóż tam nowego w szkole?

— Nic...

— Byłeś z czego pytany?

— Byłem!

— A odpowiedziałeś dobrze?

— Ja byłem neutralnym, więc nie odpowiadałem wcale.

Oszczędny Kohn a moratoryum.

Pan Kohn, przyciśnięty koniecznością, musiał zejść do podziemi Sukiennic... Było to następstwem przestrachu z powodu gwałtownego spadku kursów na giełdzie.

Gdy wychodził, przypomniał mu dozorca, że należy się zapłata w kwocie sześć halerzy...

— Co jest? — zawołał Kohn zirytowany. — Jakie sześć halerzy?... To wy chyba nie czytaliście w gazecie, że teraz obowiązuje wszędzie moratoryum...

Przezorny Jojne.

Na Błoniach, korzystając z pięknej pogody, bawiła się grupa dzieci, między niemi także mały Jojne, który, gdy mu zaproponowano udział w wyprawie wojennej na wroga, ukrytego nad Rudawą w okolicy Parku Jordana, zapytał najpierw:

— A czy nieprzyjaciel jest bardzo silny?

Z mowy lorda Kitchenera.

...Opowiadania o sprawności floty niemieckiej, to zwyczajny humbug i ordynarna blaga! Ja panom powiadam, że pierwsze miejsce zajmują w świecie nasze okręty! Ot, mieliśmy dopiero niedawno dowód, iż nasze pancerne krążowniki zanurzają się daleko głębiej, niż ich łodzie podwodne!...

Przypadek.

Panna Kazia (do siebie): To jednak ciekawe, iż wszyscy moi wielbiciele, którzy poszli na wojnę, mają jeden i ten sam numer poczty polowej...

Z pola walki.

Według doniesień sprawozdawcy wojennego, żołnierze rosyjscy stawiają mężnie czoło wrogowi, podoficerowie z ostrożności pozostają zawsze w tyle, podczas gdy oficerowie piją równocześnie w karczmie, jenerałowie zaś rozliczają się w najbliższem mieście z dostawcami.

Naiwny.

Syn (do ojca): Tatusiu! Od dziś nie będą już wychodzić gazety!

Ojciec: A skąd wiesz o tem?

Syn: Czytałem wczoraj w „Kuryerku" na własne oczy: „Ostatnie wiadomości z pola walki".

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego